

III Konkurs Literacki Na Kamieniu Kamień - Wokół twórczości
Wiesława Myśliwskiego

III NAGRODA

Autorka: Joanna Ulatowska-Letko

Godło: Plaster miodu

Okruchy świata

*Każde mówienie jest wysiłkiem:
nie zdoła człowiek wyrazić wszystkiego słowami.
Nie nasyci się oko patrzeniem ani ucho napętni słuchaniem.
(Koh, 1, 8)*

Przyszedeł pan porozmawiać? Do mnie? O życiu, mówi pan? I cóż znowu takiego w moim życiu jest, co by pana interesować mogło? Nie, nie wyganiem pana, ależ skąd. I też nie to, żeby mi tu źle samemu ze sobą było, przywykłem. Ale towarzystwem pańskim nie wzgardzę, zapraszam. Pamiętam pana, z gminy, z kościoła, pamiętam. Pański ojciec... zresztą nieważne.

Wie pan, tak w ogóle to ja dużo z tego mojego życia pamiętam, czasem mi się wydaje, że za dużo, więcej, niżby pamięć moja chciała. Tak się te wspomnienia we mnie rozpierają, gniazda sobie jak kwoki moszczą, że i wygonić ich nie sposób. Może to starość daje znać o sobie? Może świat na odchodnym zatrzymać mnie tą pamięcią próbuje, jak grzyby, co ich najwięcej wtedy się znajduje, kiedy już z lasu masz wychodzić, na żal, że już koniec?

Powiem panu - gotowy jestem i w tamtą drogę. Garnitur mam, pantofle, koszulę, skarpetki przygotowane, miejsce na cmentarzu też jest. Co w tym dziwnego? A nie zdziwiło pana nigdy na przykład, że Jezus nie miał własnego grobu? Od urodzenia szykował się na śmierć, ale nie zadbał o grób, tylko w cudzym go położyli. I w życiu i w śmierci swojej był, jakby to powiedzieć, bezdomny. Ale może z takiego cudzego grobu łatwiej wyjść mu było?

W swoim pewnie dłużej by odsapnął, bo co to dwa dni odpoczynku, niecałe nawet, po takim umordowaniu?

Teraz tak sobie myślę, że mnie najlepiej to się w stodole odpoczywało. Nie tylko, że spało się w upały w stodole. Ale lubiłem wejść, tak bez celu nawet, na worku ze zbożem przysiąść, posiedzieć. A i tak chodziło się przecież stale - po siano, po słomę, sieczki albo pokrzyw w ladzie naciąć, śruty umielić, plew zaparzyć, ziarek dla kur wziąć, świniom żarcie naszykować. A zimą po jabłka, po warzywa. Ojciec mój

skrzynie takie porobił drewniane - osobno jabłka w sianie leżały, osobno marchew i buraki piaskiem poprzesypane. A w beczce kapusta kiszona. To i było po co do stodoły chodzić. Wierzy pan, że miejsca też pamięć mają i mogą w tej pamięci swojej zachować, co w nich było? Takie osieroczone miejsca, z pustką, jak raną w przestrzeni. Czasem, wie pan, jak pod słońce spojrzę, to udaje mi się zobaczyć kurz w smugach światła ze szpar w wierzejach albo zapach siana poczuć. Wjeżdżało się z furą na klepisko tędy, od pola, a wyjeżdżało na podwórze.

O, z pieca na łeb było, czy końmi, czy traktorem później, trzeba było uważać. Na wierzejach wisały półszorki, orczyki, kosa, sierp. A jak była zabawa, czy wesele we wsi, to się takie wierzeje zdejmowało i podłoga do tańca gotowa. W klepiska były kółka żelazne wmurowane i wierzeje haczyki miały, żeby zapiąć. Od środka. I jeszcze się na koniec deskę zakładało na złączeniu. Nie daj Boże, jakby na przykład w burzę wiatr takie wierzeje otworzył, a wpadł, to już by dachu na stodole nie było. To i dzieci wiedziały, że jak chmura idzie, to pierwsze co, wierzeje od stodoły trzeba zamykać. Tu właśnie stała. Drewniana, gwoździa jednego nie było, samo drewno. Słupy, opasie, krokwie, jętki - wszystko na drewniane kołki łączone. A tu, gdzie pan stoi, kierat był, co go potem na złom za grosze sprzedałem. Kierat jak kierat. A kto

to wiedział, panie, że kieraty będą kiedyś w muzeach stawiać i się nimi zachwycać?

Teraz na takich starych stodołach podobno obrazy malują. Czasem sobie myślę, co by na tej naszej wymalować można było... gdyby jeszcze stała. Ale, co minęło, to minęło. Nie dogoni i w sto koni, dnia, który przeminął. Że stodoły nie ma. A domów ilu? Da pan wiarę, że tak nic może nie zostać, ślad żaden? Po domu, gdzie się rodzili i umierali, płakali, kochali, kłócili? Ano widać może... Pokolenia przemijają, i tylko pamięć ma prawo te domy poświadczyć, a razem z nimi i tych wszystkich, urodzonych i umarłych.

Pan spojrzy, ile się motyli zleciało do tych paru kwiatków. Motyle mają szczęście podobać się ludziom. Przynajmniej w swojej ostatecznej postaci, bo gąsienice to mało kto uważa. A nazwy jakie mają - modraszki, cytrynki, bielinki, zieleńczyki, czerwńczyki, fioletki, perłowce - od samego mówienia się kolorowo przed oczami robi. Nie mówiąc, że są jeszcze uroczyki, zamgleńce, płomieńce. Te akurat to rusałki. Tu bliżej pokrzywnik, a tam pawik. Taki motyl - niby nic, a przypomnienie, że każdy ma czas odmierzony własną miarą, ale nie przez siebie bynajmniej. I nic z tym zrobić nie można. Pogodzić się co najwyżej.

Widzi pan, im starszy jestem, tym bardziej mnie takie najmniejsze kawałki świata, okruchy - jak te motyle chociażby - obchodzą. Może to i dziwne. Bo że chłopa ziemia, koń,

krowa, żniwa obchodzą, to dziwić się nie ma czemu. Chociaż ja z tą ziemią moją to po prawdzie więcej wojowałem, mocowałem się. Moją nie moją - czy to człowiek na tym świecie w ogóle może powiedzieć, że coś jego jest? Toteż nieraz i przekląłem tę ziemię, bo a to uschło, a to wymiękło, zgniło, wypaliło się, ognicha czy miotła zdusiły, zaraza padła, a nawet jak urosło, to tuż przed żniwami grad przyszedł, burza, ulewa, wiatr i położył, wymłócił na pniu. Chłopska dola, los - jak kto woli. Ale teraz, jak sobie na nią patrzę, to mi do głowy przychodzi, że może ona też odpocząć potrzebowała. Żeby nie musiała, tak co roku, tego chleba i do chleba. Po mojej śmierci pewnie ją znowu to samo czeka. Ale póki żyję, niech sobie odpocznie. Teraz na niej rośnie, co chce - rumianki, chaber, maki, powój. Dla motyli i dla pszczół. Ojciec mój miał pszczoły, kilka uli, żadną tam pasiekę. Grykę siał im zaraz za domem, żeby daleko chodzić nie musiały. Jak szedł miód podbierać, to się najpierw kąpał, szarym mydłem szorował, płócienną koszulę czystą kładł i nigdy go żadna nie użądliła, choć gołymi rękami ramki wyjmował i do miodarki nosił. Wierzy pan, że smak tego świeżego miodu do dziś czuję? To i pszczołom życzliwy jestem, chociaż uli nie mam. Ojciec się jękał - jak podrostkiem był jeszcze, to wlaź na sokorę, wronich gniazd szukać i spadł z samego czubka. Matka, babka moja, w fartuchu go ponoć do domu przyniosła i do łóżka położyła, żeby spokojnie skonał. Ale on wziął i nie

umarł, tylko jak już z tego łóżka wstał, to się jąkać zaczął. Mocno się jąkał, aż bolało słuchać nieraz, jak wrywał z siebie te kilka słów, co to już się bez nich nijak obejść nie było można. Cierpliwy był na to swoje jąkanie, to raczej myśmy się doczekać nie mogli, aż w końcu powie to jedno, dwa słowa. Tak już chyba jest, że cudze kalectwo bardziej niż własne nas dotyka, czy zawstydzia może? Może i dlatego z pszczołami ojcu tak dobrze było, że im nie przeszkadzało jego jąkanie. A wie pan, że pszczoły ciekawskie są? Całkiem jak ludzie. Lubią wiedzieć o wszystkim, co się w rodzinie dzieje - o ślubach, chrzcinach, pogrzebach. I okłamywać ich nie wolno. Jak tam ojciec im o swoich sprawach opowiadał, tego nie wiem, ale zawsze w zgodzie ze sobą żyli.

Za to w rękach dostał ojciec talent od Pana Boga, który może mu wynagrodzić chciał to jąkanie? Sękate takie, twarde miał ręce, ale co w nie wziął, temu poradził - jak trzeba było, to i stolarkę, i murarkę, i kosę osadzić i poklepać, i koszyk upleść. Drzewka szczepić potrafił i kamienie drzeć. Takie, co na polu leżały, a ruszyć ich nie było sposobu, bo to nie to, co dziś, panie, traktory jak byki u każdego. A przed wojną chłop jednego konika miał, a jak dwa, to już był pan, to co mogli takim kamieniom zrobić? A ojciec pochodził, popatrzył na słoje, na warstwy, tu puknął, tam stuknął, posłuchał i wiedział, gdzie młotem uderzyć i kamień na części się rozpadał, a już takie mniejsze to i w konika powyciągali na

miedze, czy w krzaki. Wiadomo, kamień kamieniowi nierówny, są takie, które łatwo pękają, są i oporniejsze, i nie z każdego kamienia pożytek.

Czy się od ojca nauczyłem czego? Ano, starałem się, chociaż wiedziałem, że mu nie dorównam. Jak to mówią, z jednego drzewa i krzyż, i łopata. Ale ten płot widzi pan? Słupki z kamienia sam stawiałem. A kamienie z ziemi pozbierane. To chociaż tyle zostanie po mnie - powiedzą może - twój dziadek, pradziadek ten płot własnymi rękami zbudował. Teraz, panie, rzemieślnika nie uświadczysz, krawca, szewca ze świecą szukać, o kamieniarzach czy zdunach nie wspominając.

Zresztą, coraz mniej ludzi cokolwiek potrafi. Tam, o za rzeką, widzi pan dom taki, z gankiem? Ten, co tam mieszka, ma trzech synów, trzech zięciów i siedmiu wnuków, i oni mu wszyscy krawaty do wiązania przywożą. Prawdę mówię. To kto im będzie wiązał, jak jego zabraknie? Nikt wieczny nie jest przecież. Ale może krawaty z mody wyjdą? To i umieć wiązać nie trzeba będzie. Pan, widzę, bez krawata. Przecież nie na wesele pan jechał ani oświadczać się, wiadomo.

O, patrzy pan, jak słońeczko niziutko zeszło nad widnokrąg. Już i na stodołę nie sięga. Pan tego może nie widzi, ale ja wiem. Która to godzina? Starość ma dużo czasu... dopóki go w ogóle ma. Rozumiem. Oczywiście, może mnie pan jeszcze odwiedzić. Mówią, że cieszy się starzec, gdy przeżyje marzec. To może i ja jeszcze pożyję, żeby się z panem spotkać.

Nawet bym się, powiem panu szczerze, nie spodziewał, że aż tyle słów we mnie jest. Może i na słowa czas musi przyjść, żeby się na ten świat pokazały, dopiero jak dojrzałe, dostate będą? A i tak wciąż mi się zdaje, że, jak ojciec, nie mogę tak do końca tego, co bym chciał, z siebie wydobyć, wypowiedzieć. I bardziej rozumiem tę jego mękę, że nieraz ręką machnął, że już nieważne, co chciał powiedzieć, trudno. Widać, mają słowa swoją cenę i nie każdego, i nie zawsze na nie stać.